



Miesięcznik

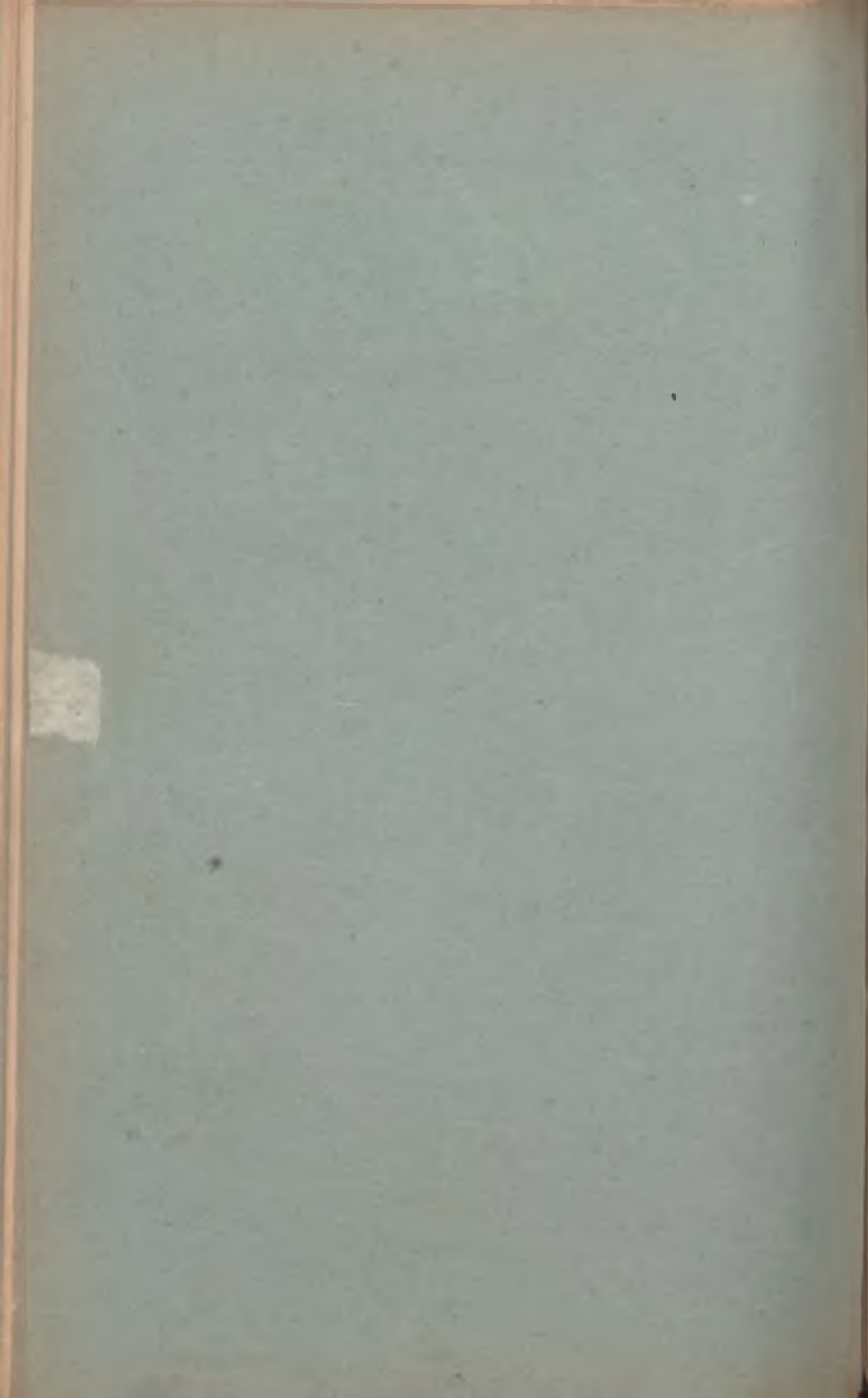
Młodzieży Gimnazjalnej T. T. Z.

Ostrów Wlkp. -- Nowyrocław

Rok III.

luty 1933 r.

Nr. 5.



Wszyscy chcemy
dokonać

Promień

Dokona
kto może! Mick.

Miesięcznik Młodzieży Gimnazjalnej Ostrów - Inowrocław
nakładem T. T. Z-u w Ostrowie Wlkp.

Kierownik wydawnictwa :	Redaktor odpowiedzialny :	Redaktor naczelny :
Przymusiński Zbig. - VII.	Prof. St. Komęza	Brodzki Wł. - VIII.
W DZIAŁE INOWROCŁAW :		
Komitet Redakcyjny Edward Rossa VIII. Edmund Jasiński VII.	Redaktor odpowiedzialny Prof. Roman Mołski. Redaktor naczelny Józef Kasprówicz VIII. Administracja Stanisław Lōwi.	

PRENUMERATA : W miejscu rocznie 2,95 zł. kwart. 75. pojed. numer 30 gr.
Z wysyłką rocznie 3,15 zł. kwart. 1,05 pojed. numer 35 gr.

Wielki dzień

Dzień 1 lutego był dniem doniesłym dla całej Polski, w dniu tym Pierwszy Obywatel Polski, Pan Prezydent Ignacy Mościcki święcił swe Imieniny.

Naród uczcił Dostojnego Solenizanta uroczyście, jak na to zasłużył. Życie bowiem obecnego Prezydenta Rzeczypospolitej było jednym pasmem służby dla Polski. Potomek starego rodu, syn i wnuk powstańców, przejął się szczytną misją swych przodków i służył jej wiernie. Gorąca miłość Ojczyzny i ofiarna dla Niej praca, oto postulaty jakimi kieruje się Pan Prezydent Mościcki.

A pracował dla Polski zawsze. Kiedy Polska była w niewoli, niósł Jej swą wiedzę w dani a głęboka musiała to być wiedza, kiedy uniwersytety zagraniczne dobijały się o osobę dzisiejszego Sternika Państwa. Po zmartwychwstaniu Polski, niesie swą wiedzę i siły, pragnąc jak najwięcej przysłużyć się Ojczyźnie. Chorzów Mościce to piękne pomniki działalności.

Pomimo sławy postać prof. Ignacego Mościckiego cechowała skromność i obowiązkowość. Piękne są słowa Pana Prezydenta, które wyrzekł do deputacji, gdy ta oznajmiła Mu, że został obrany prezydentem: „Przyjmuje, bo to jest moim obowiązkiem”. Tak pojęta służba Ojczyźnie, wydała piękne owoce i zjednała sympatię narodu. To też młodzież naszego zakładu z zapałem uczciła dzień Imienin Dostojnika, urządzając na Jego cześć poranek. My młodzi razem z całą Polską składamy tą drogą Dostojnemu Solenizantowi skromne lecz serdeczne życzenia owocnej i pomysłnej pracy dla dobra narodu i na chlubę Polski.

Redaktor naczelny

Kochana młodzieży!

Od trzech lat śledzę Waszą pracę przy redagowaniu „Promienia”. Linja po której idzie rozwój pisemka, jest linją łamaną. Przed rokiem słyszałem skargi, że poziom pisemka jest za niski; w tym roku Redakcja dołożyła dużo starań, aby ten poziom podnieść i udało się, ale znów pojawiają się zdania, że ten poziom jest za wysoki, że Wasi koledzy młodszy pisemka nie rozumieją.

Postanowiłem z tych doświadczeń i głosów skorzystać i ten poziom wypośredkować.

Wychodzę z założenia, że pisemko szkolne winno być obrazem życia całej młodzieży, odzwierciedlać wszelkie jej poczynania.

A zakładzie naszym życie młodzieży bije silnem tetnem, wre praca w organizacjach, konkretyzują się kształty samopomocy i samorządu, treść tej pracy winna być treścią „Promienia”. Proponuję więc: każda klasa (obok każdej organizacji) ma w „Promieniu” swój kącik, zamieszcza 1) sprawozdania z przejawów życia klasowego samopomocy, samorządu 2) z wszelkich poczynañ, imprez 3) szczególnych wydarzeń klasowych 4) referaty z pogadanek 5) inwidualne utwory wierszem i prozą (np. ładniejsze prace szkolne, czy domowe) i t. d.

W ten sposób jedni patrząc, na pracę drugich, będą brać z nich wzór, lub służyć przykładem, a wszyscy dążyć będą do udoskonalenia życia zbiorowego społeczeństwa szkolnego.

Artykuliki winny być zwięzłe, treściwe, w poprawnej formie. Celem usprawnienia kontaktu z Redakcją „Promienia” każda klasa wybierze „Reportera” który będzie dostarczał Redakcji materiału do druku i w oznaczonem terminie.

Sądzę, że tym sposobem „Promień” jako obraz życia — stanie się wewnętrzną potrzebą a zarazem ukochaniem całej Młodzieży, która już na ławie szkolnej winna wyrabiać się na pożytecznych i pełno wartościowych obywateli na pożytek Państwa i chlubę Narodu.

Prof. St. Komęza
Opiekun „Promienia”

ABONUJCIE „PROMIEŃ”

KOŚNIKOWSKI AL.
(Inowrocław)

Na czym winna się oprzeć ideologia dzisiejszej młodzieży

(przemówienie wygłoszone w Auli Gimnazjum)

Dokończenie.

W kierunku stworzenia warunków, sprzyjających urobieniu wspomnianego typu, jako pierwszy najwydatniej pracował ś. p. minister Czerwiński. Dał On pojęcie ideału obywatela. Ma to być nie tylko bierny, solidny pracownik, ale bojownik. Ten który pełen entuzjazmu, wiary we własne siły i wartości, organizował i zapalał szereg Legionów. „Pracownik” obok wielkich zalet posiada w sobie miazmaty niewoli, bojownik jest od nich wolny. Nadmieniał ś. p. minister, że za nim ten ideał się ujawni muszą z naszego życia być wyniesione „upiory przeszłości”, „przeżyte ideały” własne lub nam narzucone.

I słusznie! Bo czas już skończyć z ideałem Polski „Mesjasza narodów”, z legendami o Wernykorze i t. p. szerzącymi defetyzm w narodzie. Czas już zdać sobie sprawę z roli, jaką Zachód odegrał w historii odrodzenia Państwa Polskiego. — Są dziś ludzie w Polsce o niesłychanych zamiarach, chcą przyznać obcym to o czym im samym nawet się nie śniło — wskrzeszenie Polski. Kiedy jeszcze w roku 1920 w obliczu najazdu bolszewickiego proponowano odsunięcie od dowództwa Armją Polską jej organizatora Mar. Piłsudskiego, a oddanie w ręce obce jej kierownictwa było to coś co doprowadziło wprost znikczemnieniu w niewoli. Ale i dziś, po 14 latach bytu samodzielnego nie jesteśmy z tej przywary w całości wyleczeni. Czas sobie uświadomić, że Polski nie dał nam zachód, że Polskę stworzyliśmy sobie sami. Przekonanie o sile Zachodu, a o słabości naszego Państwa upokarza naszą dumę narodową i jest fałszowaniem historii, oraz wykazuje błędną ocenę układu sił w Europie. Chciałoby żeby w Polsce czyniono to, co się przyjaściom z Zachodu podoba, to co wzbudza ich sympatję. Dopóki tego rodzaju legendy nie skończą się, dopóty nie skończy się okres niedołęstwa państwa naszego.

„Upiory przeszłości” stary sposób myślenia przekazany z czasów niewoli musi upaść.

W rocznicę wielkich wydarzeń w życiu zbiorowym lub indywidualnym przywykliśmy do zdawania sobie sprawy z tego czegośmy dotychczas dokonali.

Biorąc z przeszłości to, co może być pobudką do dalszych wysiłków, mając przed sobą cel, kreślimy plan dalszego działania.

W 14 rocznicę odzyskania Niepodległości zarysowuje się w umysłach naszych wyraźniej, aniżeli w innych okolicznościach, nasz cel — Polska Mocarstwowa. Pierwszym etapem drogi do tego celu — urobienie nowego typu Polaka — obywatela — bojownika. Typ ten powstanie przez realizację programu streszczającego się w słowach: „Czynne ustusunkowanie się do tego, co nas otacza, nabywanie zamiłowania do pracy, rozbudzanie dla niej czci, ukochania, rozbudzanie sił społecznych i obywatelskich, opanowujących egoizm indywidualny i zbiorowy.”

(Napisane z okazji 14-ej rocznicy odzyskania Niepodległości.)

Fryderyk Franciszek Szopen

(Dokończenie)

Polskość muzyki Szopena nie miała żadnego gotowego wzoru w przeszłości naszej sztuki, dawniej bowiem muzycy XVII i XVIII wieku prócz Gmólki nie usiłowali wprowadzić jakichś specjalnie narodowych cech do swych utworów; późniejsi zaś kompozytorowie a w szczególności Kamiński, Kurpiński i Elsner nie umieli dostatecznie wzbogacić melodyj i rytmów tanecznych polskich fantazją twórczą, któraby zdołała podnieść je na wyżyny wytwornej i prawdziwie polskiej lecz zarazem i światowej wielkiej sztuki. Istotnie potrzeba było na to genialnej wyobraźni.

Kompozycje Szopena zaś mają swój specyficzny rytm i melodie. Jego polonezy, to nie sentymentalnym welonem okryte postaci, lecz potężne duchy buntu i skargi, mężowie okryci żałobnymi deljami, z pod których srebrne błyskają puklerze i stalawe brzeszczoty. Liszt twierdzi w swej książce o Szopenie, że pierwszym, co nadał polonezowi charakter rycerski był Weber. Jego polonezy przecie dla ucha polskiego brzmią obco, a dla Szopena nie mogły nigdy służyć za wzór. Równie oryginalny i równie polski, jakim jest w każdej swej nucie, Polonez A-dur, mógł powstać jedynie w wyobraźni wielkiego muzyka, któremu przeszłość, współczesność i przyszłość Polski, były nie tylko czemś najświętszem, lecz poprostu częścią jego ciała i ducha.

A to samo odczuwamy słysząc mazurki szopenowskie. Całe szeregi obrazków i nastrojów w najrozmaitszych odmianach. Gdy wielki artysta, a zarazem i światowiec powracał z paryskich salonów do swego mieszkania i do fortepianu, najzaufanszego powiernika swego, pojawiała się jak na zawołanie z nieprzebytej oddali wies mazowiecka. Posłuszny instrument nauczył się śpiewać jej piosenki i drgać jej tanecznymi rytmami, a Polska napelniała obce mury swem życiem i tuliła w objęciu serdecznem swego ukochanego wiernego Syna.

Szopen najchętniej jednak tworzył przy fortepianie bez przygotowania — doraźnie. Improwizacje te, zdaniem wszystkich, co miało szczęście je słyszeć, były prześliczne i przechodziły pięknosć innych utworów, na papierze opracowane i ogłoszone drukiem. Improwizowanie takie było u niego od lat najwcześniejszych, rzeczą codzienną. Będąc dzieckiem jeszcze, zebrał raz całe grono rówieśników i opowiadawszy im bajkę o strachach, naprzód grą swoją podniecił małych słuchaczy i zaciekał, a następnie widząc wzruszenie na ich twarzach, ukoił kołysanką tak słodką, że wszyscy posnęli, a czardziej oddalił się na palcach cichutko. W późniejszym życiu improwizował tak w towarzystwach, jak i publicznie, bo improwizacja była wówczas w modzie i żaden koncert nie mógł się obyć bez niej. Szopen w takich razach za temat obierał sobie najczęściej jakąś ulubioną polską melodię ludową np. „piosenkę o chmielu”

Alco często improwizował w samotności dla siebie, gdy do fortepianu zasiadł aby ulżyć swemu żalowi, tęsknocie lub nerwowym niepokojom, trapiącym go ustawicznie. Wtenczas pojawiały się w oczach jego jakieś fantastyczne obrazy, pochody świetnych postaci przeszłości, zjawy romantyczne i baśnie. Jednocześnie palce wydobywały z fortepianu dźwięki to wspaniałego poloneza, to znowu rycerskie rytmy marsza, pienia jakieś chóralne, lub powabne tony sielanki. Zastawano go nieraz po takiej improwizacji pół przytomnego, wzburzonego, w gorączce, poczem zazwyczaj następowało wyczerpanie oraz śmiertelne znużenie.

A gdy natchniona taka improwizacja znalazła niekiedy słuchacza, o sercu równie gorącym i wyobraźni równe zapalnej, to można sobie wyobrazić łatwo, jaki nastrój wzniosły wytwarzał się. Takim słuchaczem mógł być Adam Mickiewicz lub Ursyn Niemcewicz, 80-letni wówczas starzec, gorący wielbiciel Szopena. Albo znowu, jakże ciekawy i pelen humor powstał wypadek, gdy improwizujący w salonie Szopen, znalazł obok siebie tak znakomitych muzyków jak Franciszek Liszt lub Ferdynand Hiller, i gdy ktoś z towarzystwa rzucił myśl, aby każdy z trzech mistrzów zagrał na swój sposób jedną i tę samą pieśń! Stało się tak raz w salonie pp. Platerów. Zaproszono Mazurek Legionów „Jeszcze Polska nie zginęła”. Każdy z artystów grał wspaniale, lecz nikt takiego nie wywołał wrażenia, jak Szopen, co też całe towarzystwo z entuzjazmem przyznało, nie wyjąwszy znakomitych współzawodników.

Młodości! Orla twych lotów potęga,

Jako piorun twoje ramię!

GERLE K. IV B.

Silna wola w życiu naszym

W czasie wakacji słyszałem, że Polacy znani są ze swych zapalów, że mają często świetne pomysły i zamiary. Mało jednak swych zamiarów doprowadzają do końca.

Myślałem nad tem długo, przypominałem sobie historję ojczy-
stą, gdyż chciałem o własnych siłach dojść do prawdy. Przypomnij-
my sobie tylko Konstytucję 3 Maja, uchwaloną dlatego, że cały na-
ród zrozumiał, że złe ustawy prowadzą Ojczyznę do upadku. I wi-
dzimy, że sama uchwała i sama tylko dobra wola nie wystarczyły.
Trzeba było zacząć żyć w myśl tych uchwał. W życiu, jak wiemy
tylko pewna część ludzi wytrwała, bo inni przestraszyli się trudności,
zwaćpili i słabi upadli. Cóż nam z tego przyjdzie, że chcemy się
poprawić, jeżeli nie będziemy mieli siły tego dokonać, gdy na dro-
dze napotkamy jakieś trudności.

Ileż to najrozmaitszych planów snujemy sobie w życiu codzien-
nem, ile w naszej klasie już nie pojedynczo, lecz wszyscy z zarzą-
dem na czele robiliśmy postanowień. Przypomnę tu składki na wy-
cieczkę, zamiar odegrania sztuczki dla zasilenia naszej kasy i t. p.

Piękne to zamiary, ale czyż tylko na zamiarach mamy wszystko
kończyć? Gdy słomę lub papier zapalimy, prędko buchnie ogień
wielkim płomieniem, lecz za chwilę już, zamiast ognia, mamy tylko
chmurę dymu, aż w końcu ze wszystkiego zostanie trochę popiołu.
Podobne to do takich zamiarów niedoprowadzonych do końca.

Trzeba nam dużo silnej woli. Ona musi kierować te nasze za-
miary na drogę rozumu. Gdybyśmy mieli wszyscy silną wolę, toby
dotychczas wszystkie przez nas uchwalone zamiary zmieniały się po-
woli w czyn. — Rozumem i wolą ludzie usidlili wiatry, obracające
śmigami wiatraka, mielącego zboże na mąkę, a nam młodym jak tru-
dno często przychodzi okazać silną wolę. Zabawa nieraz nęci, koledzy
przysięgli przyjść również i zabawić się wesolo, — Pracę wyko-
nam później, powie z nas niejeden, bo zabawa bardziej nęci. Czyż
nie jest to objaw słabej woli? Czasami więc ta nasza słaba wola
podobna jest do młodego drzewka, gnącego się za lada podmuchem
wiatru.

Powiecie pewnie, że ja krytykuję, lecz lekarstwa dotychczas
na te słabości nie podałem, więc je zaraz postaram się wskazać.
Aby praca nasza dobrze się rozwijała, spróbujmy ją zacząć od spraw
najmniejszych. Chcemy iść zabawić się, a lekcja jeszcze nie odro-
biona, spróbujmy ją początkowo choćby w części odrobić. Mamy
lekcję zadaną na drugi tydzień, więc nie odkładajmy jej aż do ostat-
niego dnia, lecz spróbujmy w wolnych chwilach przedewszystkiem
o niej pamiętać. Przeszkodzą nam w tem różne sprawy przyjemne
może koledzy, może zajmująca powieść. Spróbujmy raz przezwycię-

żyć te zachcianki dla spełnienia obowiązku, jaki na nas dla naszego dobra nakładają p. profesorowie, a przekonacie się, jakie jest miłe zwycięstwo!

Czytałem, że amerykański Ford, królem samochodów nazwany był w młodości tylko biednym ślusarzem. Miał dużo trudności w życiu, ale więcej pewnie musiał mieć woli, skoro doprowadził swą pracę do tak wielkiego bogactwa. Jeżeli więc mamy wytknięty cel, czy to wycieczkę, czy inny, i postanowiliśmy na ten cel płacić, to najlepszą nauką silnej woli będą dla nas przedewszystkiem te obowiązki.

Przypomniałem, sobie tu referat kolegi Grzybkowskiego, który mówił, że powinniśmy się już tu, na ławie szkolnej przygotowywać do pracy obywatelskiej, jaka nas w przyszłości czeka.

Obywatele dorośli płacą państwu podatki na utrzymanie szkół, wojska, różnych potrzebnych urzędów itd. Jeżeli więc nasza klasa jest niby maleńkiem państwkiem, w którym przygotowujemy się do życia przyszłych obywateli Państwa Polskiego, musimy się więc kształcić. I pytam was, koledzy, czy my kiedyś spełnimy sumienie swe obowiązki względem Ojczyzny, jeżeli się już tu nie nauczymy tych małych obowiązków należycie wypełniać? Czy, jeżeli się obecnie w klasie tak małych podatków 5-cio groszowych nie nauczymy regularnie płacić, będziemy kiedyś lepiej płacić większe i równie potrzebne podatki państwowe?

Przez te drobne obowiązki naszego samorządu w klasie pod pod kontrolą kochanych p. p. profesorów przygotowujemy się do większych spraw państwowych. Chcemy w przyszłości widzieć Ojczyznę naszą szczęśliwą, lecz przytem musimy zbudować sobie to szczęście wspólnymi siłami w klasie.

Zacznijmy od dziś!

MIECZYŚLAW JAKUBOWSKI

Twórczość poetycka doby współczesnej w Polsce.

Zarys syntetyczny oparty w układzie materiału na pracy Adama Galińskiego

Pożja Polski Odrodzonej rok 1918 — 1930.

Ale i na tym gruncie upadają, rujnuje ich niezgoda i stanowisko całego społeczeństwa. Zarzucono im plagiatowanie i malpowanie wzorów zagranicznych, następnie sztuczność, niezwykłość, krzykliwe, pełne poży gadanie o niczem. Wywalczyli jednak nową formę, nową budowę wiersza i miejsce dla motywu „urbanizmu”. Także wielu otrzaskałszy się z mrzonek „Sturm und Drangperiode”, dali rzeczcy

istotnie piękne i cenne. Do takich przedewszystkiem należy Stanisław Młodożeniec, którego tylko pierwsze utwory należy odnieść do futuryzmu. Zresztą już cała ta „poezja jutra“ należy dziś do przeszłości. Takby przedstawiała się cała ta głośna historia z futuryzmem.

Przyjrzyjmy się teraz kolejom ekspresjonizmu. Jak już wiemy kolebką ekspresjonizmu jest Poznań, gdzie też wychodziło czasopismo „Zdrój“, jako własny organ ekspresjonizmu. Ponieważ początkowo brakło ustalonego programu, umieszczano także utwory „Młodej Polski“, i tłumaczenia Marinetti'ego, Clandeka, Rimbanda, Milotsa, Werfela, Rabindranath'a Tagore a także Tristjana Tzara (twórcy dadaizmu). Umieszczali także swoje utwory Tuwim, Wierzyński, Iwaszkiewicz, Żegadłowicz i Koźlikowski. Twórcą dopiero programu ekspresjonizmu stał się jeden z czołowych poetów — ekspresjonistów, Jan Stur. Według niego ekspresjonizm jest dalszym ciągiem romantyzmu. Jest dalszym ciągiem, to znaczy, jest dążeniem, idącym w tym samym co romantyzm kierunku, jeno że dalej, spełniając jego postulaty w sposób bardziej konsekwentny, a temsamem bardziej radykalny. „Czucie i wiara — powiada Mickiewicz w Romantyczności — silniej mówią do nas niż mędrca szkiełko i oko.“

Według tego i według Stura wszystko to co jedynie odczuwamy, jest rzeczą prawdziwą. Konsekwencją tego wywyższenia ponad świat materialnych kształtów przeżyć wewnętrznych duszy jest wywyższenie prawdy ponad piękno. Zewnętrzność wobec wewnętrzności dla ekspresjonizmu, jako prądu metafizycznego, jest niczem. Jeżeli chodzi o czynne ustosunkowanie się do świata, życia i społeczności, to nieco dalej wyraża się w swym programie Stur następująco: pragniemy być ludźmi, których porzywa prąd dziejących się w rzeczywistości wypadków — którym ból sprawia ludzkość, słabnąca się w objęcia hańby i rozwydrzenia, naród ujarzmiony, robotnik głodny, kobieta nie wyzwolona... Widać więc u ekspresjonistów zabarwienie społeczne, brak jednak im ustalonego związku między sobą, silnej konsolidacji, która by ich silniej łączyła i pozwoliła odegrać w społeczeństwie większą rolę. Do poetów „Zdroju“ zaliczamy wspomnianego Jana Stura, Józefa Wittlina, Adama Bederskiego, braci Hulewiczów oraz Horzycę. Najznakomitszym z nich był Józef Wittlin, autor „Hymnów“ i tłumacz „Odysei“. W „Hymnach“ można zauważyć bardzo silny wpływ Whitmana, Verhaere'na i Kasprówicza. Niezwykle ciekawą twórczość Adama Bederskiego, tak z powodu poglądów, treści, jak i formy. Onim powiada Stur, że jest „twardy w pesymizmie, nieugięty.“ Jak łuki sklezione, jak arkady kamiennymi spoidły złączone, ciągną się jego wiersze, by przystanąć u końca krótkiego słów szeregu hardo i bezwzględnie. Ktoś, co już odnalazł siebie i przeto w budowie łącznikowej zdań przebiega jego — powiedziałabym — słusność. W odezwie do czytelnika pobożnego przeciwstawił metafizycznym rozchówcom „Młodej Polski“ egzystencjalność na samotności swej polegającego człowieka.

Mówiąc o stosunku poety do świata — kazał nam kroczyć nie ku zbawieniu i nie ku rajom utraconym nieb wiadomych i znanych nam, ale ku strasznej "zagadce niewiadomego. I w „Spleanie i w" Impromptu erotycznym wybucha strumieniami szczytami smutek, ale nie rozłaziący się w bezmocy, jeno czerpiący z siebie nieugiętego istnienia moc, bo on jedynie jest i człowiek jedynie — a poza nimi chyba wielki znak: — pytania".

„Zdrój", jak zaznaczyłem, większej roli nie odegrał, a nie ciesząc się zbyt łaskawą względnością czytelników, upadł na zawsze. Takby się przedstawiały oba te ośrodki dwóch różnych prądów. Tymczasem w Warszawie ogniskują się te obydwa prądy, nadając ze względu na swe środkowe stanowisko twórczości swoisty częściowo charakter. Kiedy tamte ośrodki reprezentowali czyści wyznawcy danego prądu, tu one łączą się i tworzą harmonijną całość. Dlatego też Warszawa stała się ośrodkiem najżywszego ruchu literackiego. Nie będę tutaj rozpisywał się o rozmaitych przekształceniach różnych organów, ale przedstawię zaraz linię rozwoju grupy poetyckiej „Skamandra". „Skamander" wywodzi się z organu literackiego „Pro arte et studio" który wychodził na świat przez trzy lata, to jest od roku 1916-1919. W następnym już roku, w roku 1920-tym upada „Pro arte" wszyscy tak zwani Pikardoczytycy od nazwy kabaretu artystycznego „Pod Picardorem", gdzie się zbierała cała cyganeria poetycka Warszawy wchodzi w skład grupy „Skamandra". Ze względu, że program „Pro arte" jest ten sam, co „Skamandra" a i osobistości się powtarzają, przejdę zaraz do programu „Skamandra". „Chcemy być poetami dnia dzisiejszego i w tem nasza wiara i cały nasz program. Chcemy raz jeszcze, ale raz jedyny ukazać wiośniany oddech poranków i płynny smutek wieczorów, dziki marsz żelaznych pociągów i rezenowy zapach księżycowych światła, rozwichrzony zgłęb wielkomięskiej ulicy i miękki spokój białych domków, przysłoniętych sadami — wszystko to wchłonąć w siebie i mówić słowem prostym, a szerokim, jak rozwarcie matczyńskich ramion".

Program taki jest syntezą starych i nowych pierwiastków. „Skamander" z jednej strony nie odżegnuje się futuryzmu, z drugiej zaś strony nie wypiera się eklektywizmu i częściowo epigonizmu.

Pozatem ponieważ „Skamander" nie jest żadną szkołą poetycką, nie ma wcale do tego pretensji skupia w sobie wyznawców różnych prądów literackich i także stara zachować łączność z twórczością Wyspiańskiego, Kasprowicza, Żeromskiego, Staffa, Leśmiana, także i obcych, jak z twórczością Rilkego i Balmonta.

GRZYBOWSKI IV b.

Na czym polega obowiązek względem Ojczyzny już w życiu szkolnem

W obecnych czasach, po odzyskaniu niepodległej Ojczyzny, hasłem naszym w pierwszym rzędzie, powinno być zastosowane z „Ody do młodości” Mickiewicza, „razem młodzi przyjaciele”. Szczególnie młodzież, jako przyszłość narodu, winna się przejąć tą myślą i zrealizować ją w życiu codziennem. Cały naród polski winien braterstwem, jednością oraz wspólną i ofiarną pracą obywatelską, przyczynić się do Jej potęg i sławy. My młodzi już w szkole obowiązani jesteśmy do ścisłego i sumiennego pełnienia obowiązków, względem naszych przełożonych lub też do ofiarnaj pracy w różnych organizacjach jak: w harcerstwie, L. O. P. P., L. M. i R., T. T. Z. K. Historycznem, K. Sportowem i w innych. Powinniśmy je pełnić, z ochotą i radością, gdyż już teraz przez sumienne ich wypełnianie przygotowujemy się do przyszłych obowiązków obywatelskich. Narodowość jest sercem, język zaś krwią jego — mówi Libelt w swej rozprawie „O miłości ojczyzny”. Język ten jest jakoby obrazem uczuć ojczyzny. Powinnością nas wszystkich, szczególnie nas młodych będących przyszłością narodu, jest dbać o ten język, nie bryzgać go obcemi wyrażeniami, starać się wzbogacić w szereg wyrazów i zwrotów, mistrzów słowa polskiego. Względem szkoły cechować nas winna wdzięczność, przywiązanie i szacunek oraz cześć dla tych, którzy poświęcają się w tym celu, aby jako ludzi dojrzałych wprowadzić nas w świat, w przyszłe pole obowiązków. Korzystać przeto powinniśmy z kółek polonistycznych i bibliotek, mające na celu pielęgnowanie języka naszego i ducha narodowego. Jak wiemy z historii, duch narodowy nie zginął w sercach rodaków naszych w czasie niewoli, lecz mocą i czystością swą wywalczył nam dzisiejszą Ojczyznę. Nie wystarcza kraj nasz kochać, lecz trzeba się starać poznać go, przez zwiedzanie okolic, miast i drogocennych pamiątek narodowych. Wdzięczni przeto powinniśmy być naszemu gronu profesorskiemu za urządzenie różnych wycieczek krajoznawczych. Szczególnie ukochałem nasze morze, jak i inni moi koledzy. Morze bowiem powinno być otoczone naszą specjalną opieką, gdyż morze jest naszą drugą potęgą. Pragnieniem naszym jest, kiedyś pojechać nad morze polskie i zobaczyć to ukochane morze oraz jego flotę i sport. Pamiętać zatem powinniśmy, aby być dobrymi obywatelami, gdyż od nas zależy potęga i sława narodu naszego.

Więc w górę serca — my młodzi.

CZARNY SĘP — druž. T. ZANA.

(Gr. „Czuwaj!” - Ostrów)

Przy choince

(nowelka)

W powiecie nowogródzkim, na żyznej litewskiej ziemi, mieszkał pan Łahoda, jenerały rewizor włości wileńskich, należących do ks. Radziwiłła. Był to człowiek niezwykle szlachetnego i prawego charakteru, pełen miłości do ziemi rodzinnej i poczucia swej godności obywatelskiej.

Teraz przyjechał do swej rodzinnej wioski Wołkowicz, aby spędzić święta Bożego Narodzenia w gronie swojej rodziny, przy ognisku domowym, pośród kochającej go żony i dzieci. Lecz pan Łahoda, pomimo swej łagodności i zwykłej wesołości, stał się dziwnie zamyślnym i ponurym, troska jakaś osiadła na jego zazwyczaj pogodnym czole. Pani Maryla, zdziwiona tak nagłą zmianą usposobienia jej męża, postanowiła zbadać nurtujący go smutek.

Cisza była w pokoju pana Ludwika Łahody. On sam siedział mocno zamyślony. Księżyc przebił się przez okno, oświetlając prawie ciemny pokój, gdyż tylko niska lampka przed obrazem Bogarodzicy rzucała mdle światło na łagodną twarz Matki Najświętszej. Nagle ciszę tę przerwał lekki skrzyp drzwi. To pani domu weszła cichutko na palcach i zbliżyła się do zamyślnego męża. Pan Ludwik odwrócił głowę i zatopił w niej swe łagodne źrenice, pełne cichej rezygnacji. A na niego patrzyło dwoje cudnych, niebieskich oczu, które chciały wyczytać w duszy kochanego męża smutek, pragnąc podzielić się z nim cierpieniem. Pani Maryla, nie mogąc dłużej czekać, piewsza się odezwała:

— „Ludwiku! Co znaczy ten smutek, który sen spędza ci z powiek? Powierz mi swoje cierpienia, nie trzymaj mnie na uwięzi obawy. Wszak, jeśli mąż dzieli swoje troski z żoną, łatwiej im razem znieść największe trudy. Powiedz mi więc, Luteczku, a może... a może ja będę miała jakieś lekarstwo. Proszę cię, powiedz i nie ukrywaj niczego”.

W tej właśnie chwili pan Ludwik postanowił opowiedzieć żonie wszystko, wyłąć przed nią lzy ciężkiego smutku i boleści. Widząc ją taką strapioną i niepewną, przytulił ją do zbolącej piersi i rozpoczął opowiadać swoje strapienie.

„Marylko! Dziękuję ci za słowa pociechy. Ty tylko jedna umiesz czytać w głębi mojej duszy. Posłuchaj więc opowiadania o moim strapieniu. — Za lat młodzieńczych był moim przyjacielem na dworze księcia, Bronisław Skarski. Pragnąłem go wykiepować na porządnego obywatela, wszczepiając w jego duszę różne szlachetne i wzniosłe idee. Mogłem to tem bardziej uczynić, że byłem w tym samym mniej więcej wieku, co Skarski, nie mogłem się jednak pogodzić z je-

go charakterem. Był on dumnym, hardym i od wczesnej młodości przepadał za pieniędzmi i bogactwami. Starałem się wykorzenić te jego wady, lecz nie danem mi to było, gdyż po niedługim czasie wyjechał zagranicę na studia. W ten sposób przyjaźń pomiędzy nami została przerwana, a nawet zerwana.

Po roku poznałem ciebie i niedługo później pobraliśmy się. Aby nie przerywać, będę opowiadał o dalszych moich losach mimo, że je znasz. Kiedyśmy osiedlili się w tej wiosce rodzinnej, powołał mnie książę Radziwiłł na swój dwór, mianując mnie jeneralnym rewizorem swych włości. Zgodziłem się wtedy chętnie i sumiennie spełniałem swoje obowiązki. Przed trzema laty zjawił się nagle pan Bronisław Skarski, lecz jakżeż zmieniony. Nie nosił już stroju narodowego, lecz, ku ogólnemu zgorszeniu, strój francuski, a i w charakterze jego nie zmieniło się nic na lepsze. Wady, które pragnąłem z jego serca usunąć, zapuściły tam mocne korzenie. Zaraz po przyjeździe zaczął się starać o odpowiednie stanowisko na dworze księcia, który mianował go swoim sekretarzem. Zapragnąłem więc odmówić z nim dawną przyjaźń i tem zbliżaniem się podjąć znowu próbę uszlachetnienia jego spaczonego charakteru.

Lecz próżne były moje usiłowania, gdyż Skarski przyjmował wskazówki z cynizmem i ironją, a nawet nie pozwolił mi o tem wspominać. Początkowo nie zrażałem się tem wcale, jednak po jakimś czasie zauważyłem, że go nic zmienić nie zdoła.

Duma jego była powodem antypatji, jaką darzyli go dworzanie.

— Pan Łahoda przerwał na chwilę, aby zebrać tok myśli i mówił dalej:

— „Wiesz, Marysienko, że byłem zawsze dobrym dla otoczenia, a już nigdy nie podnosiłem głosu, nawet, kiedy karcielem. Dzięki temu zyskałem sobie szacunek wszystkich. Niestety, to stało się Skarskiemu solą w oku i zauważyłem, że w jego usposobieniu zrodziła się jeszcze jedna wada: zazdrość, która przemieniła się potem w nienawiść ku mnie. W całym jego względem mnie postępowaniu zauważyłem dążność do zdeptania i zepchnięcia mnie w nędzę. I moja nieostrożność nasłuchiwała mi sposobność do zemsty.”

Książę Radziwiłł miał zakopany w ziemi bardzo cenny skarb, o którym tylko ja wiedziałem. Dziwnym trafem wy dobył odemnie tę tajemnicę Skarski i przygotował mi straszną zemstę. Wykradł skarb i zabrał, a prawdopodobnie w innym zakopał miejscu. Tymczasem książę, kilka dni przed moim wyjazdem, postanowił zobaczyć swój skarb i wybraliśmy się w drogę. Jakież było zdumienie, kiedyśmy go nie ujrzeli i wtedy momentalnie zrozumiałem, dlaczego Skarski tak bardzo pragnął posiąść tajemnicę skarbu. Książę spojrzał na mnie swoim przenikliwym wzrokiem i wtedy krew uderzyła mi do głowy, lecz wzrok jego wytrzymałem. Kiedy wracaliśmy do domu książę powiedział mi: „Panie Łahodo! Na stanowisku jeneralnego rewizora pan pozostanie nadal, ponieważ nie wierzę, aby pan dopuścił się

podobnego czynu." Były to ostatnie słowa księcia. Po naszym powrocie już wszyscy wiedzieli o zdarzeniu i odwracali się odemnie, a w oczach ich, które na mnie patrzyły widziałem to straszne oskarżenie: „Złodziej!" Mając jednak czyste sumienie, nie usprawiedliwiałem się i czekam, aż „oliwa wypłynie na wierzch".

Skarski tryumfował i namawiał księcia, aby mnie usunął z dworu zupełnie, lecz książę nie zgodził się na jego projekty. O, Marylko! Gdyby mi wtedy można było umrzeć, to nie wahałbym się odejść. Lecz... lecz teraz ty wiesz wszystko, a Bóg Dobrotliwy nie pozwoli krzywdzić niewinnych.

Pan Ludwik dopiero teraz znalazł chwilowy spokój kiedy wyjaśnił żonie przyczynę smutku.

Nadeszła Wigilia Bożego Narodzenia. W domu państwa Łahodów szykowano do wieczery. Na dworze szalała śnieżycą. — Nagle... wśród borów na drodze ukazały się czyjeś sanie. Śnieg sypał tak gęsty, że światu nie widać, a wilki w tą noc wyły ekrutnie i pędziły zgłodniałe za saniami. W saniach tych siedział otulony jakiś mężczyzna i wołał na woźnicę, aby popędzał konia, pragnął bowiem jaknajprędzej dostać się choćby do chłopskiej chaty. Nagle w oddali zamigotały mdle światelka.

— „To wioska jakaś" — krzyknął woźnica — „jesteśmy ocaleni!"

Sanie wjechały na drogę do wioski, a mężczyźni ujrawszy dwór stanęli przed nim. Na odgłos dzwonka wyszedł właściciel, prosząc gości do domu. Był nim ku zdumieniu podróżnego pan Ludwik Łahoda. Za panem domu wyszła pani Maryla z opłatkiem w rękę. Zawstydzony podróżny, był nim bowiem pan Bronisław Skarski, nie wiedział, co ma czynić. Jenak udał się za panem Łahodą do głównej izby, gdzie przy stole była zgromadzona cała rodzina, a obok stała tradycyjna choinka.

Na widok tej choinki i stołu pan Skarski zapłakał, a dzieląc się opłatkiem, wyznał swą winę panu Łahodzie i przyrzekł zło naprawić. Zwarły się ich dłonie w serdecznym, braterskim uścisku. Po wieczery wszyscy stanęli dookoła choinki i zaśpiewali kolendy, a pan Bronisław najgoręcej kolendował małemu Jezusowi i dotykał rękoma delikatne, a pieszczotliwie gałązek choinki.

A ona stała przed nim jakby uradowana, szmerząc gałązkami w takt kolend. A wszyscy śpiewali coraz to inne kolendy, co raz to słodsze, weselsze, a choinka stała cicha, błyszcząca tysiącem światel i odblasków.

Przed północą pędziły drogą do wioski sanie, w których siedzieli państwo Łahodowie i pan Skarski. Jechali pierwszy raz razem oddać Jezusowi hołd i podziękować Nowonarodzonemu za szczęście jakim ich obdarzył.

Pan Ludwik dokonał, przy pomocy małego Jezusa, zamierzonego dzieła: Skarski zwrócił się ku Bogu i ludziom. A chóry Aniołów śpiewały chwałę Panu w niebie:

„Gloria in exelsis Deo!"

WŁADYSŁAW BRODZKI

(Ostrów)

Teoria słuszności

Przyszło ich czterech, usiedli przy stoliku, kazali sobie podać „Baczewskiego“ z trzema gwiazdkami, rozłożyli karty na stole i zaczęli grać.

Za szybą kawiarni gwar, ruch, błysk reklam i buczenie tramwajów. Stolical.

Wtem otwierają się drzwi, wszedł jakiś jegomość w towarzystwie lekaja — murzyna. Oczy wszystkich zwróciły się ku egzotycznemu gościowi, który w odpowiedzi ukazał w szerokim uśmiechu biel zębów. Był to świeżo importowany z Afryki Senegalczyk.

Ów jegomość przysiadł się do mojego stolika i zaczął rozmawiać o Afryce...

— Co oni robią? — spytał mnie nagle Senegalczyk, wskazując na karciarzy.

— Grają w karty — odparłem.

— A na co?

— Ażeby wygrać pieniądze.

— A od kogo?

— No ten pan w czerwonym krawacie od tego w smokingu.

— Hm! A jak oni to robią?

— No widzisz. Ten w czerwonym krawacie wyciągnie taką kartę z paczki wielu inny kart, wygrywa i zabiera pieniądze.

— Ja bym nie dał pieniędzy.

— Musiałbyś dać.

— Tobym tego z czerwonym krawatem pobił i zabrał pieniądze.

— A gdyby on ciebie pobił?

— To onby wziął moje pieniądze, ale tak za kawałek kartki. oddać dobrowolnie pieniądze? — i tu mój kolorowy towarzysz pokręcił z niezadowoleniem głową...

Upłynęło parę dni, na świecie mgliście i dżysto, siedzę sobie przy ciepłym kominku i czytam. Już mrok zapada. Jestem sam, w całym mieszkaniu cisza.

Wtem zadzwieczał dzwonek.

— Kogo tam licha niesie — mruknąłem niezadowolony, że mi przerywają.

Otwieram drzwi i ukazał mi się młodzian, w którym przebiegał swego dłużnika, winnego mi znaczną sumę pieniędzy.

— Moje uszanowanie!

— Padam do nóżek! Czem mogę służyć?

— No! Widzi pan, przyszedłem tak... odwiedzić pana.

— Aha! Proszę, proszę siadać — zapraszam uprzejmie, choć w duszy coś mi zakotłowało, gdyż sądziłem, że przychodzi oddać pieniądze, to jedno a drugie, miałem pilną lekturę do przestudjowania na następny dzień a tu ten przyszedł. Tymczasem gość rozgadał się o znajomych, ile mają dochodów, że gotówki brak, czułem więc przez skórę że przyszedł po pożyczkę. Ale dla czego tak głądzi? Nie może to odrazu powiedzieć, dałbym mu i niech sobie idzie.

Wreszcie gość zaproponował:

— A może zagramy w karty?

O Boże! jeszcze to. Zdawało mi się, że porcelanowy murzynek stojący u mnie na biurku, spojrzał na mnie pytająco, czułem, że gość, wstydząc się prosić otwarcie o pożyczkę, próbuje szczęścia w grze.

Zaczęliśmy grać. Podczas gry znowu gadał.

We ranie coraz bardziej się gotowało, czas uciekał a ten siedzi. Wreszcie zerwałam się i pytam — Ile?

— Co ile? pyta zdumiony.

— Ile pan chce pożyczyć?

— Ależ paniel To obraz! Chciałem pożyczyć, lecz nie chcąc prosić otwarcie, próbowałem wygrać w karty, ale po takim poczęstunku dziękuję.

— Ależ człowieku — zawołałem w pasji — chcesz pożyczki, to gadaj odrazu i wynos się, bo nie mam czasu.

— Paniel Pan mnie obraża.

— Tu masz pieniądze i jazda! — zawołałam, wyrzucając gościa za drzwi.

Zdenerwowany usiadłem w fotelu, rozważając wypadek. Kiedy się nieco uspokoiłem i rozejrzałem po pokoju, w oczy wpadł mi murzynek.

Zdawało mi się, że widzę tamtego z kawiarni, jak szczerzy w uśmiechu zęby zacieraając ręce mówi:

— O! Tak to rozumiem. Odrazu! Chcesz? Bierz i wynos się a nie wyciągać jakieś tam kartki i brać za nie pieniądze.

CZESŁAW PILICHOWSKI

Gimnazjum Klasyczne — Trzemeszno.

Wygnańcza Dusza

W chacie wygnańców huczało, jak w mrowisku... Jeden przez drugiego mówił — gwaro było.

Blogie uczucie zalało im duszę. Zapomnieli o katuszach, zapomnieli o trudach i bólach niedawnych. Serca ich otwały się... Z nich płynęły rany, pozornie zagojone, bole ukryte, aby wzajem się pocieszyć, aby ulżyć zmęczonej duszy...

Jak w kalejdoskopie przesuwaly się się przed nimi: niedola ludzka, cierpienia, łzy... Jeden drugiemu spowiadał się ze swych grzechów, z upadków; jeden drugiego rozgrzeszał... — wygnańcza spowiedź publiczna!... Stopniały dawne żale...

Dopiero, gdy sobie ulżyli na duszy, dopiero, kiedy przekonali się o swej równości, ryknęli wspólnymi głosy:

— „W żłobie leży, któż pobieży...”

Śpiewali jeden przez drugiego... W pieśniach religijnych znaleźli ukojenie.

Ter... — pent... — terr... — pent... — terrr... — pent...

— Co to? Czy odgłos kopyt końskich? Jakiż to śmiertelnik śmie się włóczyć po tak późnej i czarnej nocy. Co za pośpiech jeźdźca czuć w odgłosie kopyt! Może to Zyziu... — takie przypuszczenia sauli wygnańcy przy stole wigilijnym.

— Puk... — puk... — puk...

— Proszę, proszę, wchodźcie!...

Człowiek widmo wsunął się milcząco do pokoju. Śnieg i lód wżarł się w jego ciało i odzienie. Sople lodu na wąsach... — Nie poznać, czy człek, czy słup śniegu...

— Ktoś ty jest człowiecze?

— Dajcie mi wódkę! — wykrztusił.

Podano mu wódkę, a raczej wlano do ust. Nie mógł ochłonać... Powoli śnieg i lód zamieniały się w strugi wody.

— Bracia!... — wyrzekł ledwo dosłyszalnym głosem — Bracia, ... wygnańcy, ... Polacy! ... Nadzieja powrotu nam się uśmiecha. Powstanie wybuchło... Odezwa Traugutta...

Wyrzekł te słowa i upadł. Już on więcej tulać się nie będzie. Bóg miłosierny za Polskę ukochaną walczyć mu nie pozwolił.

Już dawna różowiutkie paluszki wysunęła „Aurora” daleko, ponad wschodni horyzont, a w domu wygnańców wciąż jeszcze szepty słychać i rozmowy.

— Kiedyż więc mamy wyruszyć do ojczyzny; ona nas potrzebuje. Bracia!... Czyż mamy jeszcze gnąć w kopalniach syberyjskich, znosić katusze i bóle, zadane przez tych nędzny wrogów? — rzecze Marcin.

— Nie... Nie... nie chcemy. Pod twoim przewodnictwem idźmy na bój, — Marcinie, idźmy za przelane łzy, za doznane bóle

Słodko zrobiło się Marciniowi na duszy, kiedy usłyszał te słyszane i zachwycające słowa. Widać, że poczucie miłości ojczyzny wśród

nich nie zagasło, że słowa, któremi ich karmił podczas wieczerzy wigilijnej, nie poszły na marne... Oni umieją być bohaterami...

Kiedy tak chcecie, — to pójdziemy — rzecze Marcin — Dziś o północy zbierzemy się koło przeklętego domu: „Kabyś abaza!”¹⁾...

Lasek marchwicky zdawał się być utulonym do snu. Stare świerki i dęby z powagą kolebały się. Skoro zaś wszedłbyś do środka, spostrzegłbyś, o dziwo — obozowisko.

Ogniska płynęły, lecz nie zbyt buńczucznie, bo nad niemi wisiały kotły z jedzeniem. Zapach dymu, warzonych potraw rozchodził się po lesie... Na trawie, wokół ognisk leżeli powstańcy. Gwarzyli sobie...

W tem wpada do obozu jeździec na spienionym rumaku i woła...

— Moskale tuż, tuż!...

Wiadomość ta stropiła nieco zbiedzonych i zmęczonych wojaków. Energiczny jednak głos dowódcy przywrócił odwagę. Wszyscy porwali za broń. Czas był najwyższy...

Ku laskowi zbliżał się silny oddział rosyjskich kawalerzystów. W trop za łańcuchem kawalerji ciągnęła kolumna piechoty. Setki regularnych zaprawionych w bojach żołnierzy szły przeciw garstce szaleńców...

Wódz ściągnął strażę... Rostawił swe siły powstańcze wzdłuż brzegów lasku...

Przywitali wroga ogniem dubeltówek. Powstrzymali natarcie....

Tymczasem posiłki nie przybywają. Amunicja powstańców wyczerpuje się. Liczba Moskali bierze górę nad męstwem szaleńców. Marcin uwijał się, jak mógł... Był wszędzie, gdzie go potrzebowano. Już linja powstańców zaczyna się załamywać, a jego oddziałek jeszcze się kroni...

Ściągnął brwi pułkownik rosyjski, widząc tę grupkę, bohater-sko broniących się, Polaków.

— Tam! Bohun, prowadź!... i wskazał ręką na oddziałek.

Nie wytrzymali natarcia Polacy...

Jeden po drugim kładł głowę pod razami Moskali... Marcin sam pozostał na polu walki, sam przeciw dziesiątkom. Opadli go jak osy

Parę skrzyżowań mieczami, parę pchnięć i bohater legł u stóp dębiny...

¹⁾ Jakuci uważają taki dom za przeklęty, w którym ludzie umierają na ospę. „Kabyś abaza!” — „Idź precz szatanie!”...

WIELKI WAŻ (gr. „Czuwaj“)

Družyna T. Zana

Wspomnienie

Gdy świat ci kiedy w tem życiu dokuczy
I twardy orzech zgryźć tobie nakaze,
Gdy ciężkie brzemie los tobie poruczy,
Trudną zaś drogą Bóg ci iść rozkaże.

Wtenczas to wspomnij swą przeszłość radosną,
Okres szczęśliwy — co zwie się twą wiosną...

Zachciej się zwrócić myślą do młodości,
Do tych dni pięknych, czystych i promiennych,
Do tej szczęśliwej i błogiej przeszłości
I co porywów szlachetnych, niezmiennych,

Z tęsknotą wspomij to szczęście dziecinne,
To życie święte, czyste i niewinne...

A gdy twe oko łzą tęsknoty zajdzie
I żal za szczęściem przygniecie ci serce,
Gdy w tem wspomnieniu dusza ulgę znajdzie,
Wśród ciężkich znojów, w srogiej poniewierce,

Wtenczas to wspomij te lata ze łzami,
I powiedz sobie: jak mi żal za wami...

UPARTA KOZICA

z druž. im. H. Dąbrowskiego

Zdziś

(Nowelka)

II.

Zdziś z dnia na dzień coraz więcej poważniał; coraz większe bruzdy zaorywały mu się na czole nadaremno szukał drogi, któraby zaprowadziła go choćby tylko do drugiego ze „stu”. Wciąż jeszcze zostawał sam. Ojciec, widząc tę zmianę, jaka zaszła w Zdzisiu, zaczął się jeszcze mocniej nim interesować. Siedząc przy stole, Zdziś bardzo często czuł na sobie badawcze spojrzenia ojca, ilekroć zaś zwracał głowę ku jego stronie czuł jakiś dziwny żal do ojca, widząc przewijający się przez usta, ironiczny uśmiezek. To był zawsze żuch, że będą mówili o pracy społecznej, że będą poruszali temat, którego Zdziś strzegł się jak ognia przed ojcem.

A jednak nie mógł się nigdy ustrzec. Tak też było podczas obiadu w ostatnią sobotę.

— No! Zdzisiu, jak tam z twoją pracą społeczną — rozpoczął ojciec, z niezmiennym uśmiechem na twarzy.

— Powoli psuвам się naprzód, proszę ojca.

— Widzę jednakże, że ci ręce opadły.

— Ależ, broń Boże! Coprawda mniej pracuję, ale zato więcej czasu poświęcam rozważaniom; zastanawiam się uważnie nad właściwym zagadnieniem pracy społecznej, nad istotą tej wielkiej sprawy.

— No! i do jakich już doszedłeś wniosków?

— Na samym wstępie już przekonałem się że każde piękne zadanie, niech ono będzie nawet bardzo trudne, zostanie dobrze rozwiązane o ile inicjator znajdzie kilku chętnych do współpracy, kilku takich, którzy rozumieją się nawzajem, którzy z zaparciem się siebie będą wytrwale dążyli do wypełnienia podjętego zadania. Dalej praca wyda wtenczas owoce, o ile każdy ze współpracowników będzie znał przedewszystkiem samego siebie, pozna swych kolegów i, co najważniejsze, świat, w którym pracuje. Myśli wszystkich muszą koniecznie iść równolegle po tej samej wspólnej drodze, muszą zestrzelić się w jedno ognisko, które spoi ich w jedną nierozzerwalną całość; całość potężna, trwała, sławna, jaśniejąca wokół tak gorącym blaskiem, że ogarnie wszystkich, zapali do czynu, wznieci w se cach ich taki sam płomień miłości i ukochania pracy dla drugich, jaki już oni posiadają, a potem... za wszelką cenę rozszerzyć ten żar...

— Który za łada podmuchem wiatru zgaśnie — wtrącił ojciec.

— Nie, ojczel! Ten żar rozpalić w olbrzymie ognisko, iż sam się zapali i jak roznosi owoce drzew, tak będzie rozsiewał wiatr płonące, gorąco...

— Widzę, że ci skrzydła uniosły, radzę ci trzymać się ziemi.

— Proszę ojca, nie wyobrażam sobie, jak można pracować, razem mając rozbieżne poglądy, różne cele, jak można pracować kiedy jeden nie wie co drugi zamierza czynić.

— To jeszcze nie wszystko.

— Oczywiście. Potrzebne jest posłuszeństwo wobec samych siebie, karność wielka, rozumna, a jednak dobrowolna. Konieczna jest zgodność pracy; trzeba stłumić, zdusić w sobie wszelkie przekonania o racji projektów przez większość nie przyjętych, trzeba zarazem wciąż wytrwale wypleniać wady swego charakteru, wady narodowe, nasze, polskie. Tyle ich jest, a tak mocno wkorzeniły się w dusze nasze.

Trzeba nauczyć się walczyć z niemi...

— Sam nie nie zrobisz. Jest u nas piękna organizacja...

Niema żadnej! Trzeba ją dopiero stworzyć.

— Jest, synu, tylko jej nie znasz!

— Jaka, proszę ojca.

— Harcerstwo!

— Harcestwo?!

— Tak!

— Ha, ha!

— Zdziś! — zawołał, nagle wzburzony ojciec

— Przepraszam ojca! Proszę mnie wysłuchać: nie widzę nic nadzwyczajnego w harcerstwie, przeciwnie, pełna w niem błędów. Od pierwszej chwili, gdy chłopak wstępuje w szeregi harcerskie, jest poddany zupełnie pod komendę jemu najczęściej obcą — to go zabija! Prowadzony niejako do nieznanej i zupełnie doskonałości za rączkę staje się zupełnie niesamodzielnym, staje się maszyną; jak można być twórczym, wychowując się w takich warunkach,

— I ty to mówisz, Zdziś! Ty!?

— Tak, ojczel

— Twoi koledzy tak samo zapatrują się na harcerstwo?

— Oczywiście.

— I wam nie wstydl Wam, społecznikom!

Uważcie, że rady i opieka starszych to prowadzenie za rączkę przekreślanie wszystko to, co starsi w swem życiu zykali, czego się nauczyli i co wam przedewszystkiem dać chcą!

— Tak, Ojczel Bo dziś młodzież ma się sama wychowywać!

— Młodzież! ale jaka! Młodzież poważna, rozumna nie smarkacze

— Ojczel

— Nie cofnę mego słowa! Nie znacie absolutnie harcerstwa, nie rozumiecie wcale wzniosłych celów tej pięknej organizacji, nie znacie życia, które jest najlepszą szkołą, nawet nie wiecie czym jesteście! Chcielibyście rządzić się jak szare gęsi, budować gmachy bez fundamentów...

„Pajdokracja“!

— Ojczel Coś ty powiedział! Ojczel — wykrztusił wreszcie oniemiały z przerażenia i wstydu Zdziś.

— Ojczel

Darmo czekał odpowiedzi. Ojca unosił już samochód do biura. Nie widział Zdziś, że ojciec mówił o czemś pocichu z przerażoną młotką, że uspakajał rozplakanego Mietka; siedział przy stole omalala, skrzywdzony tonąc we łzach... Staszny haragan myśli rwałemu mózgi na strzępy: — Jezus, Marja! Co się stało?

Co się z ojcem stało?

Zato że pracuje dla wszystkich!... zato, że chce pomóc braciom. Ach! Jezus! Za to, że pragniemy podnieść ducha — uzdrowić Szare gęsi...

Ojczel

Ach! Paideuikracja!..

Co się stało...

Po bladej, skurczonej z bólu twarzy lały się łzy jedne po drugich, łzy gorące... Tak go to bolało.

Tak pracował... choć początki... ale już nie dla siebie — dla Narodu, dla Polski...

Tak Ją kochał... Dla Niej wszystko... całe siły... Bez fundamentów... ach! Znowu ból; wściekły, chwycił się stołu...

Co się stało... Boże...!

Uspokoił się na chwilę... znowu się porwał... — tak przecież wszystkich kocha.

Boże! wtulił głowę w ramiona, jak gdyby chciał odsunąć się od niewdzięcznego świata, i długo, długo rzewnie płakał...

c. d. n.

TADDY ROLL

Filozofia ścisła

Przyroda jest dla nas częste łaskawą.

Dziś także tak było.

Janek i Zbychu ze strasznie zachmurzonymi czołami siedzieli przy biurku.

Przyroda płakała...

Po niebie przewalały się ciężkie chmury; deszcz wygrywał na szybach jakieś poważne melodje (został się żo marsz żałobny), a zimny jesienny wiatr rzucał po ulicy resztkami żółtych liści...

Dzielnymi szermierzami nauki targła czarna rozpacz. Na biurku leżały sobie spokojnie, niewinna greka, łacina, matematyka i fizyka

— Szatany! Fiekiel wyrwał się nagle Janek, przerywając grobowe milczenie,

— Znowu cię „rabie”? Przestań!

— Zabierzmyw się do nauki. Zobacz plan!

— Łacina.

— Zapomniałem zabrać słownika.

— Nie warto się więc mazać. Odkładamy!

— Matyma!

— Nie ruszamy. Puść ją w trąbę!

— Fizyka.

Zbigniew skinął ręką. Janek zaś otworzywszy książkę, odłożył ją na bok. Nigdy żadnego zadania nie ruszyli.

— Pozostaje jeszcze gimnastyka i greka.

— Ja nie mam na gimnastykę „szarawarów”.

— Mnie ktoś „ściągnął kapcie”

— „Zwiejemy”?

— „Zwiejemy”!

Pozostała greka. Otworzyli książkę..

Janek cichem głosem ~~do la - trup~~ zaczął czytać; Zbychu wybierał słówka.

Przy tłumaczeniu ani rusz.

Ręce opadły — głowy spuściły się...

Kropie deszczu zaczęły wyrwać się z miarowego wolnego taktu, wygrywając coraz to żywsze melodje: mazurki, krakowiaki, kujawiaki, obertasy... Porwał się Janek, wściekły od stołu.

— Psiak...

— Co?

— Osiell

— Kto?

— Deszcz!

Wnet jednakże poprawił się (oczywiście deszcz). Tempo stało się coraz wolniejsze... wolniej... i wreszcie wróciło do taktu marsza pogrzebowego.

— Nol

Usiedli z powrotem. Podparli głowy łokciami i długo milczeli. Ciszę przerwał Janek.

— Właściwie poco tol? Poco? To przecież ruina mło...

— Zce... Znowu filozofujesz. Przestań.

— Człowieku zastanów się. Gdzie tu rozsadek. Przykuwanie Przyszłości Narodu do stołu. Duszenie w pokojach.

Chłopie kochany! Spuchniesz. Zsiniejesz. Zzieleniejesz. Zbielesz.. trup!

Nie można tak ślepo postępować naprzód!

Czy chcesz paść ofiarą nauki?

Czy musisz być jutro przygotowany? Czy jutro nie może coś „skapnąć”!

Myśleć trzeba, chłopcze kochany!

Uczeń gimnazjalny nie może być matolem!

Zawsze brak u nas zastanowienia.

Trzeba przewidzieć okoliczności, czy możesz być jutro pytany, czy też nie, a nie wyczerpywać się bezowocnie i „plajtnąć”.

Myśleć! Myśleć!

— Masz rację!

— Więc...

- Jutro będzie napewno padał deszcz.
- Byczol „Belfer” będzie senny.
- Ale... piątek.
- To źle! Stosunek więc jest 1 — 1
- Ostatnio byli pytani na „e” i „f”, do nas jeszcze daleko.
- Dobrze! Dalej!
- Może wcale nie pytał
- Oczywiście!
- Felek przyobiegał zaglądać jutro do klasy.
- Byczol pół lekcji napewno urwane!
- Następnie...
- Stój! więcej nam nie potrzeba!
- Mamy stosunek 1 — 4
- Cudny wynik, jakiegoby nie powstydził się sam Pitagoras.
- 1 — 4; w tych liczbach zamyka się historia naszego życia uczniows-
kiego! Te liczby to nasz byt, nasze istnienie.
- To nasze hłaski i nędze...
- To wszystko nasze, to zn. że dzień jutrzejszy będzie także naszym.
- Hipp, hurra!
- Wiwat filozofja!
- I padli sobie w objęcia,
- Ach! jak się cieszyli!

Następnego dnia na pierwszych trzech lekcjach była w auli akademja. Greki także niebyło; stało się, bowiem coś niesłychanego, nie do uwierzenia, zdarzające się raz na 100 lat, „belfer”... zachorował.

I wyszli całol znowu padli sobie w objęcia! Jeszcze raz win-
szowali sobie świetnych wyników dociekań filozoficznych. Rostali
się swoim stwrem hasłem:

- Hipp, hurra! w klapę, kopa dają!
- Wiwat nasza stara gamaj!

Zresztą Janek i Zbychu to porządni gamajacy, ale przyjdzie
taki dzień, że ani rusz... nauka nie idzie! A przeciesz takie czarne
godziny każdego nawiedzają! Chciałoby się wtenczas gamaję rozsa-
dzić!

A ona ta a wesola, miła, kochana...

Tomasz M. S.

Pod filarami

Już drugi miesiąc mija, kiedy pożegnał nas na zawsze ów 1932 Rok Pański. Kiepski to był rok. Nawet we święta Bożego Narodzenia chodził w płaszczu jesiennym, jeno kazał wszyć grubszą podszewkę, bo nie starczyło na ładne, futerko, więc ludziom trochę „tkliwo” robiło się za śniegiem i przymrozkiem.

Tymczasem zaś Olimp niezbyt wasoło się uśmiechał. Najwięcej cieszyliśmy się na lód. Wszak będzie można pograć sobie trochę w hokeja. Niektórzy nawet kupili sobie specjalnie buty i łyżwy i ze chrześcijańską pokorą na lód czekali. Przez kilka dni był nawet, sezon zaczął się rozwijać, ale jak zwykle „dziewuszki całowały się na lodzie” więc w nocy i przez następne dni deszcz padał na lodzie.

Mawiałam zawsze kolegom nie potrzebować na to spokojnie, nie pozwolić, by się między sobą całowały. Ale mówić do nich jak do słupa, kłaniają się tylko grzecznie, inteligentni, dobrze wychowani, a ty patrz na to z rozpaczą i żuj w sercu gorycz.

Zresztą cały świat jest taki. Nie warto żyć.

Tak też kiedyś mawiali wszyscy marzyciele o Zakopanem. Nie — dla jednych życie jeszcze nie straciło uroku. Mam na myśli Żydów. Urządzili sobie wielki zjazd, swoją doroczną „Makabiadę” i śnieg spadł i to dość grubą warstwą pokrył góry, więc się „Makabiada” udała. Nasi tymczasem musieli ujeżdżać stary śnieg i szlifować wystające kamienie. Średnia przyjemność. Kiedy śnieg spadł, zaczęła się nauka, więc przyjeżdżaj spowrotem. Lecz śnieg nie nadaremno leży po polach i drogach.

Słowem zaczęły się kuligi. Tu i tam grupki korzystały z tej przyjemności. Mróz nikogo nie przestraszył. Skrzypiący pod nogami śnieg i mroźne dni zimowe, ożywcze promienie słoneczne, pobudziły wszystkich do ożywionej pracy, i tak nawet, — o dziwo, — samorządy ożyły. Klasy zaczęły urządzać kuligi.

Wszak prawda, „to uchodzi — uchodzi”. Lecz mniejsza z tem. Na kulik nawet pozwoliły sobie nasze koleżanki.

Proszę się nie śmiać, bo naprawdę żal nam. Na dworze trząskający mróz, coś około minus czterech stopni Celjusza, reumatyzm nawet rwał mnie w lewej nodze na zmianę pogody, a tymczasem nasze koleżanki głowy sobie poobwiazkiwały szalami, wdziały po cztery swetry i czego innego, na siedzenie pokładły grube poduchy, każda zaś owinęła swe zgrabne, nóżki trzema czterema kocami.

To tak, jakby na scenie, w sztuce pod tytułem „Taniec Kwiatów”. Na świecie wszystko możliwe. Lecz już bez dygresji. Z opowiadania wiem, że miały się bawić wyśmienicie. Urządzono nawet „tańcówkę”, a przy atmosferze 4^o naszego, pocziwego wina owocowego, nawet cygary w skrzyneczce tańczyły, bo do pracy i z nami tańczono. Tych cygar to zazdroszczę, bo na jedną osobę

nowczo za dużo. Lecz co się stało, to się już nie wróci. Tak, nie wróci się. O zgroza!

„Ty śpisz, Eneaszu,

A tu deszcz na nas leje się z dachówek”.

Niema więc lodu, ani śniegu — pozostał już tylko karnawał. Niema to jak bale, tańce, herbatki, czasem nawet tańczące herbatki, jak głoszą zaproszenia. A może flaczki tańczące — zresztą w żółdku wszystko tańczy. Świat się toczy, wiruje, jedni przy tańcu, drudzy przy kieliszku.

Zaczęło się to już w Sylwestra. Trochę było niby mokro, niby sucho, bo i deszcz chciał padać a jakby nie mógł, a i twarze wyglądały dość trzeźwo. Ten jedynie spity, ale już naprawdę, kopał swój kapelusz, ów tylko podchmielony głośno wyśpiewywał:

„Cheba by mnie od maleńka

bez ciemię bito,

bez ciemię bito,

żeby jo se nie doł rady

z każdym kobietą,

z każdym kobietą”.

Różne są na świecie fantazje. Ale a propos balu, baliku czy zabawy, zresztą jak to już nazwać. Chcielibyśmy się także trochę legalnie zabawić, tymczasem kursów tanecznych w tym roku nie było, nie ma więc pozoru do zabawy.

Słyszałem, że ma się odbyć bal dla obu gimnazjów teraz przy końcu lutego, hm — nawet koleżanki urządziły plebiscyt, czy warto z nami się bawić, czy lepiej z kolegami... z Kalisza i Rawicza — no i „głupia większość” jak zwykle na baczność przegłosowała... za nami. Smutno nam, Boże! Będziemy się bawić. Szkoda, bo za pomocą czystego rachunku algebraicznego moglibyśmy dowieść, że kij ma zawsze dwa końce i często niechcąc i najdroższego uderzy. Bo prozę sobie wziąć to pod uwagę, skądby wzięli odpowiednie czapki nasi, kochani studenci, by zmylić czujność pani przełożonej i korzyść z gościnności koleżanek, gdyby koleżanki zaprosiły kolegów z Kalisza i Rawicza.

Lecz myślę, że się jakoś na tym balu zgodzimy, a może i na zabawie.

Moryc Jacobshn.

Cóż to za szaleństwo rwać sobie włosy z rozpacz,

jakby w nieszczęściu łysina pomogła!

Cicero.

„UPARTA KOZICA“ (gr. „Czuwaj“.)

„SKRZECZĄCEJ ŻABIE“ z II-giej druž.

harc. Im. H. Dąbrowskiego. na pamiątkę.

W Harcerską służbę.

— Trach!...

— Pssst!... Wiesz, Pompuszka z ciebie jest jednak kawał „patentowanej“ fujary.

— Col!...

— Pssst!...

— Czegoż znowu chcesz?

— Do stu mendeli i trochę, nie umiesz ciszej iść. Łazisz jak stary słoń. Jeszcze wszystkich pobudzisz i nasze wysiłki spełzną na niczem.

— Nie skrzeczałbyś tak wiele, bo rzeczywiście się pobudza i co będziesz miał?

— Ciemno tu jak w worku. Wielka rzecz, że raz nadepnę na gałązkę.

— Jak dostaniesz w kark, to ci się w całym lesie zaświeci

— Jesteś bałwanem kwadratowym i tyle.

— A teraz cisza...; posuwamy się dalej...

— Hi. Hi. Hi. Patrz, jak się nieborak trzęsie ze strachu. Widocznie pierwszy raz stoi na warcie. Słuchajcie co za wspaniały „koncert zębowy“ daje jego „stacja szczękowa“.

Hi. Hi. Hi. Hi.

— Trach!...

— O, ty... żebyś pękl!... Taki stary bałwan jeszcze także nieumie.

— Jak się jeszcze raz w ten sposób do mnie odezwiesz, ryknę na cały głos i cała „fajda“ skończona. Rozumiesz

— Osiół jesteś. Nie skrzecz i dawaj worek.

Ruszyła się wreszcie kanalia...

Obchodzi obóz a to świetniel

Uważaj, Pompuszka, jak się do nas zbliży, ty mu do nóg, a i rzucę mu worek na głowę.

— Byczol Zyziul

— Baczność!... Uwa... Raz.... dwa... hopp!...

— Jest!...

— Pompuszka, nogi... Pssst!...

— Już związałem!...

— Ręce!...

— Gotowe!...

— Pssst!...

— Co on się tam tak rzuca! Ty, z worka!...

— Hmm...

— Chciałem ci tylko powiedzieć, że jeśli się nie uspokoisz, to dostaniesz dziesięć szturchańców: trzy w kark, dwa w zęby, jedno „nelsona” a resztę później! Rozumiesz!

— Uhm!...

— Pompuszka, zaknebluj mu usta!...

— No, połowę pracy wykonaliśmy. Coby im teraz najlepiej zabrać, Pompuszkol?

— Weźmiemy te dwa garnki! Zostawimy ich zupełnie bezradnymi.

— Morowol!

W kilka więc chwil później „poważnym gazem” wsiąkaliśmy z gościnnego (!) obozu harcerzy, a zarazem naszych kolegów szkolnych.

— Stop! Zyziu, nie możemy przecież tak wartownika zostawić!

— Prawda!

Wiem co, odknebluję mu usta, pod słowem, że nie będzie krzyczeć.

— No, a jak krzyknie?

— „Na słowie harcerza polegaj...”

— Prawda! Idź więc i zaraz wracaj!

Po dwóch godzinach drogi uciążliwej wśród egipskich ciemności leśnych, strasznie zmęczeni, znaleźliśmy się wreszcie w naszym namiocie.

— Do pioruna! Pompuszka, ja mam wartę.

— Ha, ha, ha! To się dopiero wyśpię.

— A, żebyś pękł! Znużony jestem niemożliwie, a tu jeszcze warta!

— Trudno, musimy być ostrożni, aby się nie „wsypać”.

Nie długo potem dobiegło mych uszu donośne chrapanie Pompuszki.

— Śpi, kanalia, w najlepsze.

Tymczasem z nudów położyłem się na ziemię. Myśli moje latały jedne za drugimi...

Nowe plany, nowe zwycięstwa, nowe kpiny z kolegów — harcerzy... aż wreszcie „pech” chciał, że usnąłem.

Jak długo spałem niewiem. W pewnej chwili usłyszałem jakieś krzyki i czułem że mnie ktoś porządnie szturcha.

— Zyziu! Na Miłość Boską, gdzie masz namiot?

— Sprzedałem!

— Co sprzedałeś namiot?

— No, przecież wiesz, że potrzebowałem pieniędzy do Zakopanego, więc musiałem go sprzedać!

— Warjacie jeden, ale mój namiot!

— Co? — krzyknąłem już zupełnie wzburzony — niema namiotu?

— Zyziu! Garnki!

— Co, garnków też niema?

— Oj! Oj!

Wiesz, Zyziu, przypuszczałem, że...

— Ech! szkoda gadać; ale tak się jeszcze nigdy nie „zpyprałem”.

— Prawda!

Zrozpaczeni usiedliśmy na ziemi, spychając winę jeden na drugiego.

W tem spostrzegłem leżącą na ziemi karteczkę. Przeczytałem ją w jednej chwili.

— Ach! Pompuszko, jesteśmy sromotnie pokonani; bierz i czytaj!

— „Namiot do odebrania dnia 10 czerwca o godz. 15-tej w harcówce II-giej Drużyny”.

„Zmienny Tygrys”

— No, tak źle jeszcze nie jest, pójdziemy i odbierzemy.

— O! Pompuszko, nie znasz jeszcze harcerzy; przed frontem całej drużyny będziemy musieli odebrać namiot.

— A niech to...

Wiesz Zyziu...

— No, mów!

— Jakbyśmy tak... tego...

— No, gadaj!

— Bo widzisz, co jednak harcerz, to harcerz...

— Więc?

— Może... wstąpimy. Ale tylko tak mówię...

— Morrowol Pompuszko! Przyznam ci się, że już dawno o tem myślałem! Tylko miałem obawę, abym nie naraził się z twojej strony na kpiny.

— Piko — hello! Wstąpimy!

W naznaczony dzień poszliśmy, z całym wagonem strachu w nogach, w rękach i w sercu, które waliło jak bęben 60 p. p. do harcówki.

Ledwie weszliśmy do wnętrza padł rozkaz — Drużyna Baczości! Spojrzeliśmy zdziwieni na siebie.

W imieniu Drużyny — mówił drużynowy — składam kolegom gratulacje, za nadzwyczaj sprytne podejście obozu i życzę w dalszych ćwiczeniach jeszcze lepszych wyników.

I podał nam rękę. .

W tej samej też chwili podaliśmy „Zmiennemu Tygrysowi” prośbę o przyjęcie do drużyny.

Jeszcze nieskończyliśmy, a już gromkie — Czuj — czuj! Czuj! Czuj! — rozległo się po harcówce. Zostaliśmy przyjęci.

OSTRÓW.

Życie organizacyjne

Towarzystwo Tomasza Zana

T. T. Z-et w miesiącu lutym odbył jedno zebranie iddowe, na którem wywl. referat kol. Jakubowski Nauka, wychowanie a tow. samokształceniowe. Referent poruszał wiele kwestji dotyczących samokształcenia w organizacjach zwłaszcza w T. T. Z-cie oraz potrącił o refo mę szkolną i o nauczycielstwo. Dyskusja nad powyższym referatem rozwinęła się nadzwyczaj ożywiona. Na powyższem zebraniu był także obecny delegat G. Z T. T. Z-etu w Poznaniu, kol. Wolek, który wizytował nasze środowisko.

Zarząd T. T. Z-etu odbył w lutym jedno zebranie, na którem była omawiana sprawa nowego zarządu T. T. Z-etu i „Promienia” na rok szkolny 1933/34.

Seksja literacka przy T. T. Z-cie.

Koło nauk literackich odbyło jedno zebranie dyskusyjne w styczniu, na którem kol. Fudziński odczytał referat p. t.: „Wpływ Szekspira na Słowackiego”. Dyskusja na ogół słaba ze względu na trudny t. t. Następne zebranie odbyło się już miesiącu lutym i tematem tego zebrania był referat kol. Brodzkiego p. t.: „Postać Bolesława Śmiałego na tle lektury Wyspiańskiego,” charakteryzujący postać krlóla. W dskusji dość ożywionej starano się wytłumaczyć znaczenie dramatu p. t.: „Bolesław Śmiały” i „Skalka”.

Sodalicja Marjańska

Dnia 16 grudnia 1932 r. o godz. 3-ej odbyło się czwarte z kolei zebranie miesięczne Sodalicji Marjańskiej. Tematem zebrania był referat kol. B. Płóczaka z kl. Villa p. t. „Bezdroża młodzieży a Sodalicja Marjańska” nad którym dyskusja rozwinęła się dość żywo.

Obecność członków wynosiła 85%.

Seksja abstynencka

Dnia 15 grudnia 1932 r. odbyło się zebranie sekcji abstynenckiej na którem został odczytany referat kol. B. Borusiaka z kl. Vb. p. t. O szkodliwości nikotyny. Obecnych było 10, nieobecnych 4.

Seksja Eucharyst. — misyjna

Dnia 20 grudnia 1932 r. odbyło się miesięczne zebranie sekcji Eucharystycznej — misyjnej którego tematem był referat kol. Witeńskiego Alf. z kl. Va p. t. „Eucharystja w życiu człowieka”.

Obecnych było 17 członków.

Seksja apolagetycz. — etyczna

Dnia 5 grudnia 1932 r. odbyło się zebranie sekcji spalóg — etycznej. Tematem referatu był ustęp z „Filozofji religji” prof. Pastwarka p. t. „Zewnętrzne przejawy życia religijnego” odczytany i objaśniony przez ks. moderatora. Obecnych było na zebraniu 84%.

Ze sceny

Dnia 19 lutego 1933 roku tutejszy zakład Gimnazjum Żeńskiego święcił uroczystość poświęcenia sztandaru i nadania zakładowi imienia Emilji Szczanieckiej. W związku z tą uroczystością wystawiono sztukę p. t. „Taniec Kwiatów.” Jest to opera dziecięca prof. Miłki przeznaczona dla ćwiczeń szkolnych w laboratorjach scenicznych. Rozumiejąc że w dzisiejszych ciężkich czasach poważne dramaty nie cieszą się zbyt wielkim powodzeniem, gdyż już dosyć dramatów przeżywamy w życiu wystawiono powyższą sztukę.

To nawet częściowo zgadza się z nową teorią dramatu. Już przed kilkoma latami dramaturgowie w Niemczech jak Bertolt Brecht wprowadzali do dramatu elementy epickie i dążyli do naiwności i prymitywizmu. Po tej też linii idzie ewolucja dzisiejszego dramatu. Dlatego też nie należy się dziwić, że czasami w chaosie zagadnień życiowych, w wirze bolesnych zmagani gospodarczych, zatrzymujemy się — jakże chętnie w ciepłym ustroniu szczuki trochę może dziecinnej, ale zato jasnej, gładkiej jak lapis lazuli, obcej wszystkim, co trąci prawdą życiową. Jakże chętnie ..., lecz zniżmy już lot ptaka i przejdźmy do właściwego tematu.

Przedstawienie rozpoczęło się „Tańcem Kurpiowskim”, Taniec ogólnie wyszedł trochę za nerwowo, a śpiew za słabo, znać było zmęczenie przy tańcu. Za to solowy występ pary k. k. Kurdziejówny i Kotowskiej odznaczał się swobodą i dobrą plastyką ruchu. Jedno chciałbym zaznaczyć, że należałoby zważyć choćby trochę na regionalistyczny charakter. W właściwej sztuce trzeba podkreślić kilka dodatkowych kreacji i momentów. Zaczniemy od najmniejszych koleżanek, bo te słuszkowo najmniej popełniły błędów. Kapitałną wprost kreacją była żabka doskonale opanowanie dykcji oraz miły, dziecinny głosik zyskiwał dużo aplauzu i owacji. Podobnie było z świerazczkiem. Trochę gorzej, ale tylko troszeczkę wypadł chraszcz. Dość miłe zostały wrażenie różyczka i stokrotka. Tulipan wprowadził w zachwyt swą piękną a śmiałą karancją rachunku. Za to niezdyt wypadła niezabudka. Bardzo słaby głosik i duża dora nieśmiałość kol. Bruchówny, każą nam wiatpić o jakiegokolwiek nadziei w powodzenie na scenie. Tak samo da się powiedzieć o motyli. Koleżanka która otworzyła te rolę pod każdym względem nie nadawała. Publiczność raczej wolala by widzieć w tej roli kol. Szczukowską, która by zamiast ginać w tłumie chórzystek, byłaby naprawdę „Królem latający Kwiatów”. Do tych ciemnych plam należy jeszcze wymienić chraszcza (kol. Wrobińska). Bardzo słaba dykcja świadczy o tem najlepiej.

Zupełnie dobrze wypadły kreacje fiołka i sasanka.

Bez zarzutu był maczek i bławatek (k.k. Godzińska i Borszkowiczówna). Najwdzięczniejszą rolę miał groszek. Gdyby miał trochę podług występu w piątek, może musiałby trochę narzekać, ale nie, dzielne przedstawienie zupełnie zadowoliło. Zwłaszcza tańce były od dane z pełnem zrozumieniem.

Grzyb był bardzo dobry. Silny głos kol. Urbaniakówny panował wszechwładnie na sali. Jednak zdaje mi się, że partje solowe grzyba nie odpowiadały barwie głosu kol. Urbaniakówny. Ale — zapomniabym zupełnie o wróżce (kol. Obarska) — wszak o niej trzeba coś powiedzieć. Naogół wypadła dobrze, może tylko głos był trochę za suchy w brzmieniu.

Pozostają jeszcze do omówienia tańce do Menuetu Padarewskiego i „Gawota” Stefaniego. Tańce te wykonano zupełnie pobrawnie. Szkoda tylko, że na scenie pozostawały „kwiatki”, psuło to zupełnie momenty nastrojowe.

Moryc Jacobsohn

Kółko Fotograficzne

przy Państwowem Gimnazjum Męskiem w Ostrowie
ogłasza

Konkurs fotograficzny — połączony z wystawą fotografii.

Warunki konkursu:

1. Prace należy nadsyłać do 1 marca 1933 r. włącznie.
2. W konkursie mogą brać udział wszyscy uczniowie i uczennice gimnazjów ostrowskich i gimnazjum w Inowrocławiu.
3. Wszyscy biorący udział w konkursie oprócz członków G. Koła Fotograficznego płacą na koszty konkursowe 0,30 zł.
4. Na konkurs można nadsyłać dowolną ilość prac, dowolnego formatu oraz odbitki kolorowe. (Jest pożądane, aby odbitki były nalepione na kartonie).
5. Na odwrotnej stronie każdej odbitki należy podać tytuł pracy i godło uczestnika (czki). To samo godło należy wypisać na kopercie, zawierającej kartkę z nazwiskiem i adresem autora.
6. Odbitek nie należy retuszować.
7. Po konkursie odbędzie się wystawa nadesłanych prac w Państw. Gimnazjum Męskiem w Ostrowie.
8. Pracę należy składać na ręce kol. Czesł. Tomczaka z kl. VIIIa (Ostrów, dr. Grabowska 39).
9. Zarząd G. K. Fot. wyznacza sułdem nagród, które będą ogłoszone przed otwarciem konkursu.
10. Jurę sędziowską tworzą pp. Profesorowie gimnazjum.

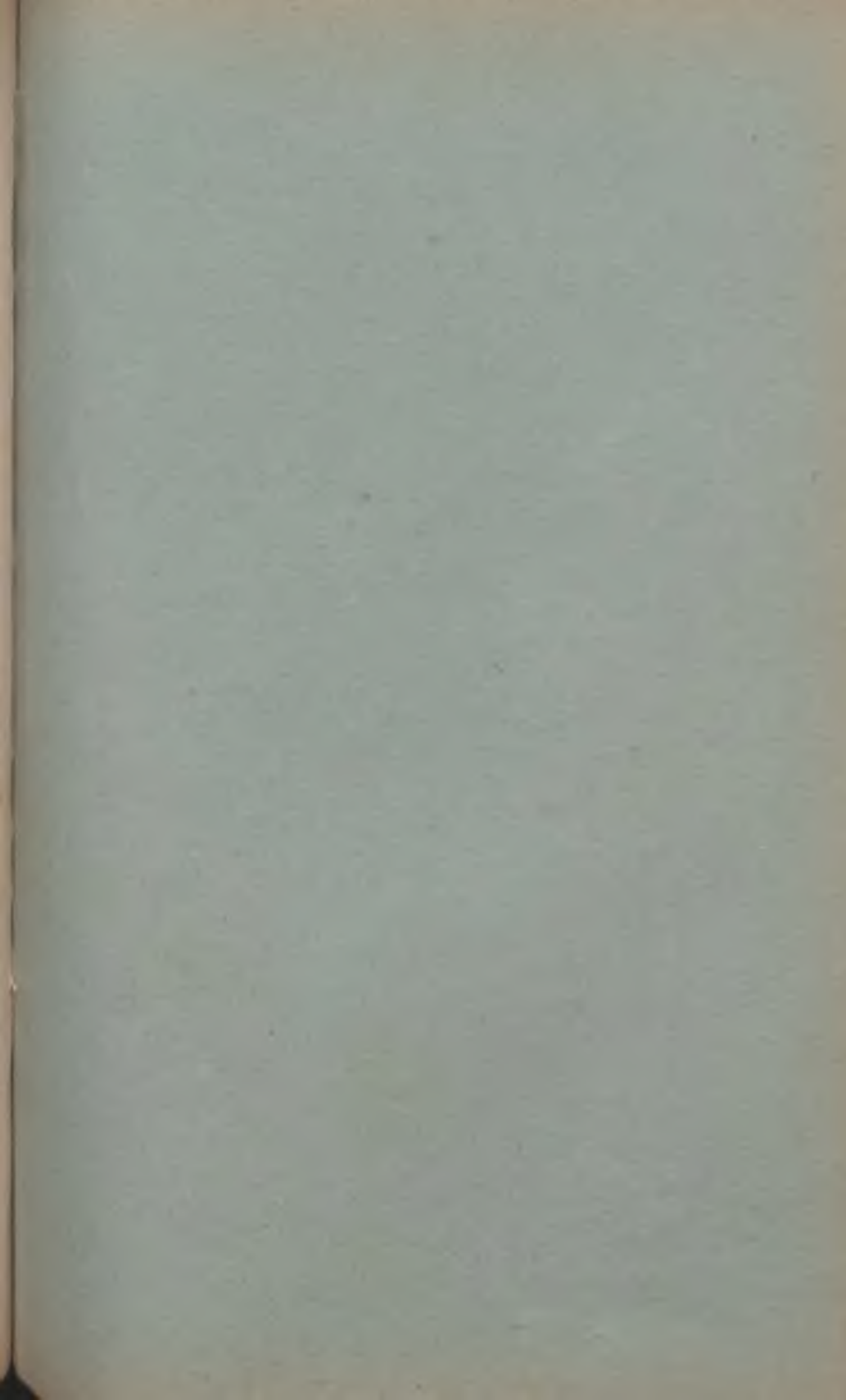
Uwaga: 1. Na żądanie jury sędziowskiej należy przedstawić negatywy.

2. Termin konkursu oraz wystawy będzie ogłoszony po dniu 1 marca 1933r.

Zarząd Kółka Fotograficznego przy Państw. Gimn. Męskiem w Ostrowie Pozn.

Treść nr. 5:

1. Wielki dzień.
2. Kochana młodzieży!
3. Na czym winna się oprzeć ideologia dzisiejszej młodzieży.
4. Fryderyk Chopin.
5. Silna wola w życiu naszym.
6. Twórczość poetycka.
7. Na czym polega obowiązek.
8. Przy choince.
9. Teoria słuszności.
10. Wygnańcza dusza.
11. Wspomnienie.
12. Zdziś.
13. Filozofia ścisła.
14. Pod filarami.
15. W harcerską służbę.
16. Życie organizacyjne.
17. Ze sceny.
18. Konkurs.



NAJTANIEJ!

w Drogerji Centralnej St. Kaczyński

Ostrów (Wlkp.), Rynek 14

perfumy, wody kolońskie, mydła toaletowe, pasty do zębów, farby, lakiery, pokosty, pendzle, oraz wszelkie artykuły gospodarstwa domowego.

DRUKARNIA - INTROLIGATORNIA

właśc. ST. GRZEŚCZYK

ulica Kaliska 3. OSTRÓW Telefon nr. 247.

wykonuje

zaproszenia ślubne i na zabawy, wizytówki, listowniki, pocztówki, koperty, rachunki, ulotki, afisze, broszury, druki propagandowe, druki dla biur, kupiectwa, urzędów, towarzystw i t.d.

Ozyskuje wszelkie zamówienia na klisze i rysunki.

Ceny niskie.

Wykonanie solidne.

Drukarnia St. Grześczyka w Ostrowie, Kaliska 3.